



Nr. 29.

Warszawa, dnia 5 (17) Lipca.

Rok 1875.

NAJWIĘKSZA NAGRODA.

— Już to z wami czyste utrapienie! mówiła do czworga dzieci stanowiących jedno rodzeństwo, Brygida poczciwa służąca państwa X. przy której opiece wszystkie podrosły i wychowały się.

— Jakie utrapienie? zapytały dzieci, czy to my Brygidę trapimy.

— Oj trapiacie, trapiacie, a pan nasz a wasz Ojciec i Mama to prawdziwi męczennicy.

W tem dowiedziała się, że państwo X. po krewnych swoich mają wzięść na wychowanie dwoje sierotek. Brygida aż załamała ręce z rozpacz i zawołała:

— Dotąd było z wami utrapienie, ale teraz to będzie prawdziwe urwanie głowy.

— To my urwiemy Brygidzie głowę? zapytały dzieci.

— Tak jak urwiecie, bo jak zaczniecie wrzeszczeć, krzyczeć i naprzykrzać się, to będziemy wszyscy jak w obłędzie, jak owce kołowate.

Rozśmiały się na to dzieci i pobiegły do drugich pokoi.

Wreszcie sierotki przywiezione zostały: dzieci przywitały ich z wielką uprzejmością, uściskały, wycalowały, pokazały różne swoje zabawki i dzień jeden, drugi i trzeci było dość spokojnie. Ale pomału zaczęło w domu być gwarniej i hałaśliwiej, zabawy zmieniały się, bawiono się w gości, w gospodarstwo, później w mrućka, w ślepią babkę. Brygida kręciła na to głową, ale jak dzieci zaprzęły się do wózka, przywiązały do dyszla dzwonek i zaczęły biegać po wszystkich pokojach, zatkała uszy i zawołała:

— A cóż nie powiedziałam, że będzie z wami urwanie głowy!

Ojciec i Mama jak wszyscy Rodzice bardzo dzieci swoje kochali, nie sprzeciwiali się więc zabawie ich choć hałaśliwej, choć woleliby żeby w domu było cicho i spokojnie. Dzieci też brykały z największą swobodą, raz po raz przybiegały do Mamy z jaką

prośbą lub zapytaniem, a jak Ojciec przyszedł do domu i dzieci usłyszały dzwonek u drzwi wchodowych, biegły hurmem na przywitanie, i obstąpiwszy w koło starały się jedno przed drugim pocałować Ojca w rękę. Taki dowód miłości cieszył Ojca bardzo, i w zamian za powitanie, Ojciec każde z dzieci ucałował, pogłaskał po buzi, a najmłodsze brał na ręce i zanosił do Mamy.

— Oj! te dzieci, te dzieci! mówiła Brygida patrząc jak Ojciec dźwigając dziewczynkę, szedł przez pokoje otoczony gromadką trzymającą poły surduta i pchającą się aby być jak najbliżej Ojca. I potem wdychając dodawała:

— Co to za wielka cierpliwość u tych naszych państwa, ja już głowę tracę jak zacząć biegać, tupać i trajkotać, a cóż dopiero pani co z nimi jest ciągle. Pan poczciwy zamiast spocząć po pracy jak wróci do domu, to musi się z nimi zabawiać, bo to tego sześcioro a wszystko takie naprzykrzone że aż strach! A co to kłopotu, żeby to nakarmić, ubrać, pamiętać o nauce i książkach, o lekarstwie i doktorze jak które zachoruje, o zabawce, bo to nie nie pyta tylko jak głodne dopomina się dawaj i dawaj! a jak syte to zbytkuje, choćby Ojcu albo Matce pękała głowa ze zmartwienia.

— Ej! maruda Brygida,

odpowiadały dzieci, kiedy Rodzice na nas nie narzekają, to dla czego Brygida martwi się i za siebie i za Rodziców?

— A bo Rodzice wszystko zniosą dla dzieci, choćby największą przykrość, odrzekła na to Brygida, a dzieci nic nie zrobią takiego dla Rodziców.

— O! zrobimy, zrobimy, odpowiedziły dzieci, a Brygida potrząsnęła na to głową z niedowierzaniem dodając:

— Zobaczę czy to prawda.

— No to zobaczy Brygida, odrzekły dzieci i całą gromadką pobiegły do Mamy, żeby opowiedzieć o czem rozmawiały.

Raz jakoś Mama była zasmucona, i choć dzieci swoim zwyczajem przybiegały, odpowiadała im z roztar-



Ojciec tak był zaszępiły że nawet rąk nie wyjął z kieszeni.

gnieniem, prosząc aby się jej nie naprzykrzały. Ojciec wychodząc także był nie w zwykłym humorze, dzieci jednak nie dawały na to baczenia, i jak zawsze bawiły się wesoło i swobodnie. Kiedy w południe dał się słyszeć dzwonek i Brygida otworzyła drzwi a dzieci pobiegły na powitanie Ojca, i obstąpiwszy zaczęły szukać ręki do ucałowania, Ojciec był tak zaszępniony że nawet rękę nie wyjął z kieszeni, nie zdjął nawet kapelusza i nie mówiąc przeszedł w milczeniu do pokoju Mamy.

— Co to się stało, że Ojciec taki jakiś smutny? zapytały dzieci.

— Ma widać jakieś zmartwienie, odrzekła Brygida, a w tedy i Ojciec i Matka o wszystkim zapominają, tylko dzieci nie chcą na to zważać.

Dzieciom smutne porobiły się minki, starsze młodszemu przykazały cichość, i wszystkie przytuliwszy się do siebie usiadły w oknie tuż przy drzwiach do Mamy pokoju. Co Rodzice rozmawiali z sobą nie mogły się domyśleć, słyszały tylko, że Ojciec coś długo mówił a Mama słuchając wzdychała, a gdy Ojciec zamilkł Mama zapłakała. Młodsze dzieci usłyszawszy to, zaczęły minki na płacz stroić, ale Staś i Joasia przyłożyli palce do ust żeby się przyciszyły i zaczęły pomiędzy sobą coś szeptać. Potem cichaczem poszły do Brygidy dowiedzieć się, czy nie wie dla czego Mama płacze?

— Pewno kłopotczą się, odrzekła, że tu taki w domu wydatek, a pieniędzy brakło.

I dzieci zaczęły się z nią naradzać, wypytywać, dowiadywać i widać że zrozumiały dobrze wszystko co mówiła, bo zamysłony Staś i Joasia zabrali wszystkie dzieci z sobą i usiadłszy w dawnym miejscu pod oknem, zaczęły coś szeptać pomiędzy sobą.

W pół godziny później wyszedł Ojciec z pokoju, i zobaczywszy dzieci przytulone do siebie główkami siedzące w największej ciszy, zapytał zdziwiony:

— To wy tu moje dziatki, cóż robicie?

— Powiemy Ojczulkowi, odrzekł Staś, ale czy możemy wprzód pójść do Mamy?

— I owszem, ale się zachowujecie spokojnie bo Mamę głowa boli.

Kiedy Ojciec razem z dziećmi zbliżył się do Mamy leżącej na łóżku, wszystkie po kolei ucałowały jej ręce i zapytane co to znaczy, stanęły przy sobie rzędem a Staś jako najstarszy rzekł:

— Rodzice mają jakieś zmartwienie, bo Mama płacze a Ojciec smutny, to też i nam smutno, a że zmiarkowaliśmy że Rodzice kłopotczą się wielkim na nasz wydatek, więc przyszlismy Rodziców prosić żeby się tem nie martwili, bo uradziliśmy żeby tych wydatków było mniej. Niech więc Rodzice buciuków nam nie sprawiają nowych bo te co mamy wystarczą jeszcze, a żeby się nie darły będziemy chodzić uważniej i nie będziemy nimi tupać bardzo.

— I sukienek nam nie trzeba nowych, odezwała się Joasia.

— A my nie chcemy lalek i zabawek, rzekły dwie młodsze dziewczynki.

— A my pilnować będziemy piór, papieru, atramentu i książek, żeby ich nie niszczyć, dołożyli dwaj młodszy chłopcy.

— Prosimy także Rodziców, odezwał się Staś, żeby nam nie kupowano na śniadanie bułek tylko chleb razowy, bo ten taniej kosztuje.

— A zamiast mleka, będziemy jadać rano barszcz mąką podprawy bo tańszy, odezwała się Joasia.

— My tylko chcemy po pół talerza, bo my jesz-

cze małe dołożyły dziewczynki.

— I my to samo, odezwali się chłopcy.

— Na obiad dla nas wystarczą kluski, kasza, ziemniaki, kapusta, marchew, odezwał się Staś, a Rodzice kochani niech jedzą mięso, bo dla ich zdrowia potrzebne, a my bez mięsa możemy się zupełnie obejść.

— Na kolacyą, odezwała się Joasia, poprzestaniemy także na kaszy lub kartoflach, a chleb będzie my jedli bez masła.

— O! my tak lubimy chleb suchy, odezwało się razem młodsze rodzeństwo, a na święto kawałek sera jak będzie, to już nie trzeba lepiej.

I tak dzieci wyprzedzały się w wynajdowaniu różnych oszczędności, a Rodzice słuchali, spoglądali na dzieci z czułością i potem całując je i ściskając rzekł Ojciec:

— Dobre jesteście dziatki, bardzo dobre, co zrobimy z waszą dobrą chęcią oszczędności, to zostawcie nam, was tylko prosimy, żebyście zawsze wierzyły, iż Rodzice wszystko dla was robią co tylko mogą, nieraz nawet z własnym uszczerbkiem, i dla tego żebyście zawsze były zadowolone tak z jedzenia i ubrania jak ze wszystkiego co wam dajemy, i nie pragnęły czegoś takiego, co przechodzi naszą możność. Możecie jednak wyjawić swoje chęci, tylko jak powiemy, że to być nie może, żebyście się nie naprzykrzały, nie krzywiły i nie narzekały. To moje dzieci będzie dla nas największe szczęście i największa oszczędność, i w teneczka choć na nas spadnie jaki kłopot, to go łatwiej zniesiemy, bo będziemy widzieć że dzieci nasze mają wszystko co potrzeba skoro nie martwią nas dopominaniem się i wybredzaniem.

Wszystkiego tego była świadkiem i Brygida, i gdy się do niej zbliżyły dzieci żeby podziękować za radę jaką im udzieliła, miała łzy w oczach i ściskając je zaledwie mogła wymówić:

— Poczciwe dzieci jesteście, Bóg was też w całym życiu będzie błogosławić. Kocham was jak własne a choć nie obejdzie się bez tego, żeby nie było z wami utrapienia i urwania głowy, to na to nie będę zważać, bo dzieciom co prawdziwie kochają Rodziców, wiele się przebacza. Największą jednak dla dzieci było nagrodą to, że oboje Rodzice rozweselali się, i Mama już nie płakała a Ojciec nie był smutny i przez cały wieczór rozmawiał z dziećmi wesoło jak to dawniej bywało.

SARNA I LIS.

Obecna rycina przedstawia nam w ustroniu lesnym Sarnę z kozłatkim swoim i Lisa czającego się za zdobyczą. Drapieżny ten szkodnik podpatrzył kozłatko młode i przypadłszy do ziemi ukrył się w zarosłach, w nadziei, że gdy się matka małej sarenki oddali nieco, smaczny połów z niej mieć będzie. Lecy omyli go ten chciwy rachunek, albowiem Sarna jest niezmiernie czuła i troskliwa matką i nigdy z oka nie spuszcza swych dzieć, których zwykle po dwoje miewa, z narażeniem własnego życia ich broni, nawet przeciw daleko silniejszemu Wilkowi. Lis więc nie straszny jest dla niej nieprzyjacielem.

Jakkolwiek oba zwierzęta na rycinie przedstawione dość są pospolite i powszechnie znane, nie od rzeczy wszakże będzie gdy pomówimy obszerniej

niewo ó ich obyczajach, sposobie życia i stanowisku jakie w uszeregowaniu zwierząt, w Historii Naturalnej zajmują.

Sarna (*Cervus Capreolus*), należy do Rzędu *Zwierząt Przeżuwających* (Ruminantia), do oddziału *Dwukopytnych*, do Familii *Jeleni* (*Cervus*). Zwierzę to zamieszkuje lasy i miejsca góryste środkowej i południowej Europy, nie przechodzi 59° stopnia szerokości północnej gdyż klimat tam dla niego staje się już za ostry. Kształtne jest ono bardzo i zgrabne, tak że aż w przysłowie poszło; mówi się bowiem nieraz: zgrabna jak sarenka. Biega niezmiernie ręczo i daje ogromne skoki, nieraz 18 łokci przestąpienia przesadzając.—Samce zwykle przez myśliwych *kozłami* zwane, mają po parze nie wielkich zgrabnych rożków chropawych z trzech do czterech odrostów złożonych; rogi te co rok opadają, a na ich miejscu wyrastają nowe, z początku skórą są pokryte, lecz ta usycha wkrótce i odpada. Sarny żyją małemi stadami, po kilka, kilkanaście a nawet do trzydziestu w jednym stadku, karmią się zaś trawą, młodemi wypustkami drzew, pączkami liśćmi: bardzo są one na sól łakome i tym sposobem myśliwi przywabiają je z cudzych sąsiednich lasów, w swoim lesie smarując pnie drzew gliną, do której sporo domieszano soli. Mięso sarn bardzo jest smaczne a skóry dają zamsz wyborny, używany na rękawiczki i inne rękawicznice wyroby; rogów także do oprawy nożów, sezyryków i na inne drobne przedmioty używają. Młode sarenki od urodzenia już bardzo są zgrabne i ładne ubarwieniem sierci, które jest w paski z białych centek złożone: z wiekiem jednak centki te nikną. Bardzo łatwo oswajają się one, stają się niezmiernie miłe i pieszcotliwe, a na głos człowieka natychmiast przybiegają. Dziwnem jest do jakiego stopnia oswojone sarny lubią muzykę. Sam miałem jedną która zwykle przebywała w odległej stronie wielkiego ogrodu, do której głos fortepianu nie dochodził wcale, rozumie się dla uszów ludzkich, lecz sarny zmysł słuchu mają daleko lepiej rozwinięty: byle też w domu odezwał się fortepian już moja sarenka pędem przybiegała i pęty głową we drzwi stuknęła, dopóki jej nie otworzono; wtedy wchodziła śmiało, choćby między nieznaną osobą, stawała tuż przy fortepianie i nie odchodziła aż do ostatniej nuty.

Lis (*Canis Vulpes*) zupełnie innego jest rodzaju; należy on do *zwierząt Drapieżnych* (Carnivora), a do familii *Psów* (*Canis*), chociaż z charakteru swego z psami żadnego nie ma podobieństwa, a tylko ze składu ciała i zębów. Niewielkim wzrostem i małą siłą obdarzony, chytrą, przebiegłością i zręcznością umie sobie zdobyć dostatek pożywienia, z wielką szkodą wszelkiej zwierzyny i domowego ptastwa; a także umie unikać myśliwych i siideł rozmaitego rodzaju które na niego zastawiają, w celu wyniszczenia tych szkodników, lub zdobycia skóry, której włós gęsty, miękki i długi, wyborne a cenne futra daje.

Lisy znajdują się na całej kuli ziemskiej i wiele jest ich gatunków, ubarwieniem skóry najwięcej między sobą się różniących. Wszystkie mają pysk spiczasty małemi ale bardzo ostremi zębami uzbrojony, a ogon przez myśliwych *kitą* nazwany, długi bardzo i puszysty. Dzień cały przebywają zazwyczaj w zaroślach leśnych i w norach, które kopią sobie pomiędzy korzeniami drzew starych na znaczną głębokość; nory te po kilka wychodów mają, ażeby

w razie niebezpieczeństwa łatwiej ujść mogli. Od zmroku zaś aż do rana za zdobyczą chodzą, której wyszukują najczęściej w pobliżu mieszkań ludzkich, gdyż drób domowy najulubieńszym jestich przysmakiem: w niedostatku jednak lepszej zwierzyny nie gardzą i myszami, które po polach z ich jamek wygrzebują. Dużo też wyniszczają zajęcy na które polują na sposób psów gończych, zbierając się po kilku na to polowanie, i jako psy głosem goniąc.

Futra lisie stanowią przedmiot bardzo obszerne-go handlu, zwłaszcza w krajach północnych, im bowiem dalej na północ tem futro jego staje się gęściejsze i piękniejsze; na brzegach Lodowatego morza znajduje się Lis Czarny, który stosownie do wieku zmienia kolor sierci od popielatego nieco w błękitny wpadającego, aż do zupełnie czarnego; ztąd zowią je także i błękitnymi lisami, futra ich do najpiękniejszych i najdroższych należą. Także drogie futra pochodzą z lisów północnych *krzyżakami* zwanych, u nas zaś znajdujące się lisy są czerwaworude, jeden gatunek ma piersi i brzuch czarne drugi cokolwiek większy białe. Pierwsze na futra drożej się płacą. Lisy z wielką trudnością oswoić się dają, wszakże zdarzyło mi się widzieć jednego, który nie tylko z psami przebywał ciągle i żył z nimi w przyjaźni, chodził na polowanie, ale i rozmaitych sztuk dał się wyuczyć i na rozkaz je spełniał.

Ażeby dać wyobrażenie o przebiegłości i dowcipie lisów, możnaby wiele a wiele ciekawych przytoczyć faktów, poprzestaniemy wszakże na jednym, który wyjęty z bardzo poważnej naukowej książki, zupełną cechą prawdziwości posiada, gdyż z takim porę-czeniem jest podany.

We Francyi, w wielkich lasach rządowych, jeden leśnik wracał nad wieczorem do chaty swojej, po obęściu jak zwykle, powierzonej części boru dozrowi jego; w tem ujrzał zdaleka lisa na sągu drzewa stojącego, zdziwiło go to co też lis na wysoko ułożonych w sągi polanach robić może, a że obyczaj zwierząt lubił badać, zakryty drzewami podkraść się jak mógł najbliżej, bacząc jednak aby nie spłoszyć lisa. Lis tymczasem wziąwszy w pysk jedno polano, pobiegł z niem do wielkiego pnia ściętego, stojącego nad drożyną przez leśne zwierzęta wydeptaną i jednym susem nań wskoczył, polana z pyska nie wypuszczając. Gdy mu to się udało porzucił pierwsze a pobiegł do sąga po drugie, i tak razy kilkanaście te ćwiczenia gimnastyczne powtarzając, w obec coraz bardziej zaciekawionego a dobrze ukrytego leśnika, który uważał tylko że lis coraz to większe i cięższe wybierał polana. Nareszcie zaprzestał tej zabawki i przy pniu w gęstej trawie tak przypadł i przyczaił, się że go zupełnie nie było widać. Leśnik wszakże nie ruszył się ze swej kryjówki, będąc przekonany, że lis nie bez przyczyny uczył się tej gimnastyki. Jakoż w krótkie, gdy zmrok już zapadał, na drożynie owej ukazała się *maciora* z licznym gromem *warchlaków*. *Maciorą* nazywa się dzika świnia czyli dzik, *warchlakami* dzikie prosięta. *Maciora* szła na przód, jak to jest w ich zwyczaju, a *warchlaki* leniwo za nią się wlokły jeden za drugim. Gdy ostatni mijał lisa, ten wypada z kryjówki, w mgnieniu oka chwytą je w pysk i wraz ze swą zdobyczą jednym susem na pniu się znajduje, zaniur *maciora* miała czas rzucić się na obronę swego kwiczącego dziecica. Rozwścieczona *maciora* byłaby na mią-gę starła lisa, ale cóż kiedy na wysoki pień dostać się nie może i z hółem *serea* patrzeć musi, jak łotr

najspokojniej prosię jej zajada.

Fakt ten dowodzi nie tylko wielkiej przebiegłości lecz co ważniejsza, pewnego zastanowienia i kombinacyi. Lis bowiem w podobny sposób rozmyślał sobie musiał:

— Warchlaczki które widzę co wieczór tą drożynką przechodzące, są tłuste i wyborne być muszą, o jakżebym rad skosztować choćby jednego!.. Ale cóż, maciora zawsze z niemi; schwycić bym schwycił, lecz z ciężarem tym nie ucieknę, ta bestya dogoni mnie niechybnie i w sztuki rozszarpie, ot, lepiej zaniechajmy tej chętki. A w tem genialny pomysł zaświtał mu w głowie. Przechodzą zawsze obok pnia tego, na nim byłbym zupełnie od maciory bezpiecznym, lecz potrzeba abym jednym susem nań wskoczył; czy z ciężarem w pysku potrafię to uczynić?

I w skutek takich to zapewne kombinacyi począł próbować i ćwiczyć się w tej gimnastyce, której ów leśnik naocznym był świadkiem, a której skutkiem była tak smaczna i tak pożądana dla rabuśnika kolacya. Nie cieszył się nią jednak, gdyż celny strzał leśnika położył koniec jego łotrowskiemu życiu.

H. K.

A ich tony serce całe

Rzewnem czuciem przenikają.

Więc się cieszcie dobre dzieci

Póki wiosna życia służy,

Póki wiosna ziemi świeci,

Długo, długo jak najdłużej.

M. M.

BOLNOŻEK.

W dzień Ś-go Stanisława mnóstwo Warszawiaków szło do Czerniakowa. W jednym towarzystwie szczególnie wiele było dzieci, oddanych pod opiekę państwa Wenantych. Naprzód więc szły dwie panienki osłaniając się parasolikami; za niemi dwóch chłopczyków z zapasami żywności w koszach; dalej drugich dwóch chłopczyków ciągnęło wózek z małą dwuletnią dziewczynką, Józią, około niego biegł Janek z Fruzią, a za niemi dopiero postępowali państwo Wenantowie i dwie inne znajome im panie.

Dzieci młodsze nie mogły się nacieszyć majówką; Janek wyskakiwał, figlował, Fruzia żartowała z niego a Józia uśmiechała się i wytrząsała rączkami jakby chciała z wózka wyskoczyć.



Sarna i Lis.

WIOSNA.

Oj! spojrzycie dobre dzieci
 W świat cudowny naokoło!
 Wszak to wiosna śliczna świeci,
 Wszak na ziemi znów wesoło;
 Patrzcie! trawka już zielona,
 Drzewa rozkwitają w pąki,
 A z rodzajnej ziemi łona
 Wschodzą fijołki wśród łąki.
 Patrzcie! słońko już wysoko,
 Ciepłem swoim was ogrzewa,
 I gdzie tylko sięgnie oko,
 Światłość miłą swą rozlewa.
 Patrzcie! już natura cała
 W nowe się szaty przybiera,
 A w piękności swojej stała,
 Wszędy bogactwa otwiera.
 Słuchajcie! już ptaszki małe
 Wdzięczne śpiewy zaczynają,

— Mamo! odezwał się Janek, jabym usiadł w wózku koło Józi.

— A to po co?

— Bo mnie nogi bołą.

— Czy to być może, nieraz kilka godzin biegasz w ogrodzie, a nogi cię nie zabolą.

— Dziś mnie jednak zaboląły...

— Czy jak Mamę kochasz?

Janek zaczerwienił się i po chwili odrzekł:

— Kiedy Mama tak bardzo pyta, to powiem, że mnie nogi nie bołą, tylko mam ochotę przejechać się troszkę w wózku.

— To będzie za ciężko dla Walusia i Pawełka.

— Ach! prawda, bo przecież oni nie konie.

— Naturalnie.

Chłopcyki usłyszeli tę rozmowę, i widząc że się Janek nie naprzykrza, wsadzili go do wózka jakby za furmana, a on potrzaskując biczkiem wołał z wielkim śmiechem: wio! wio!